

Przegląd amerykański (XVII)

Konserwatyści pod pręgierzem, protestancka prawica za Izraelem

Jacek Koronacki

Paszkwil na łamach „National Review”

Pierwszy odcinek niniejszego przeglądu ukazał się w numerze 25 ARCANÓW, czyli pierwszym numerze z 1999 roku. Ironicznie zatytułowany *Wokół „konserwatywnego” globalizmu*, zwracał uwagę na różne aspekty fundamentalnego konfliktu, jaki podzielił szeroko pojęty ruch konserwatywny w Ameryce. Z jednej strony stali neokonserwatyści, którzy do ruchu włączyli się w latach siedemdziesiątych, z drugiej konserwatyści tradycyjni, w latach osiemdziesiątych nazwani paleokonserwatystami. Ci pierwsi, z czasem coraz bardziej przeciwni państwu opiekuńczemu, byli jednak zwolennikami mocnej i scentralizowanej władzy, co zaś ważniejsze, od początku opowiadali się za „demokratyczną krucjatą”, czyli szerzeniem demokracji w świecie. Od początku lat dziewięćdziesiątych neokonserwatywni stratedzy wzywali Amerykę do wypełnienia przez nią jej „globalnych zobowiązań”, najlepiej poprzez amerykańską „życzliwą hegemonię” nad światem. Już wtedy przynajmniej niektórzy z nich stwierdzali zarazem, że jeżeli okaże się to konieczne, demokratyczna krucjata powinna być także prowadzona z użyciem siły.¹

Pisałem w owym pierwszym odcinku o wzrastającym znaczeniu neokonserwatystów, jeśli nie przejmowaniu, to przynajmniej zdobywaniu przez nich coraz większego wpływu na organizacje i czasopisma kiedyś tradycyjnie konserwatywne. Paleokonserwatyści, jako nieprzejednani wrogowie idei imperialnych – czy neoimperialnych, jak w świetle ostatnich analiz prof. Jadwigi Staniszkis powinniśmy raczej powiedzieć - najczęściej ulegali marginalizacji, usuwani w cień (czytaj, usuwani z redakcji bardziej wpływowych czasopism) przez rzekomo konserwatywnych, zwycięskich zwolenników i strategów amerykańskiego imperium.

Niniejszy przegląd jest przeglądem konserwatywnym i dlatego jest w nim stale obecny głos paleokonserwatystów, jako wyrosłych na ideach konserwatyzmu jeszcze przedwojennego, po wojnie ożywionego przez Roberta Nisbeta, Richarda Weavera, Willa Herberga i innych, przede wszystkim zaś przez Russella Kirka. Spośród dziś piszących komentatorów, eseistów i pisarzy politycznych najczęściej przywołuję Joe Sobrana, Patryka Buchanana, Toma Fleminga i Samuela Francisa. Rzadko natomiast przychodziło mi cytować z kiedyś znakomitego, otwartego dla wszystkich konserwatystów „National Review”, bowiem dwutygodnik zbyt się przesunął na pozycje bliskie neokonserwatystom i praktycznie zamknął swe łamy przed paleokonserwatystami. Wszakże jeszcze niedawno

temu mogłem przynajmniej relacjonować rzeczową krytykę tych czy innych poglądów Buchanana, pisaną przez znaczących autorów dwutygodnika i w nim drukowaną.

I oto pierwszy z kwietniowych numerów „National Review” przyniósł jako główny artykuł numeru dzieło Davida Fruma zatytułowane „Niepatriotyczni konserwatyści: wojna przeciw Ameryce” (w marcu artykuł został opublikowany w internetowej wersji czasopisma, „National Review Online”). Niech mi będzie wolno zacytować dłuższy, początkowy fragment ataku Fruma na paleokonserwatystów:

Od początku wojny z terrorem istniały głosy sprzeciwu wobec tej wojny, które zradyzalizowały się i stały bardziej krzykliwe, gdy wojna przeniosła się do Iraku. Być może należało tego się spodziewać. Ale stało się coś, co w żadnym razie stać się nie powinno było: niektórzy z naczelnych przedstawicieli tego antywojennego ruchu określają się jako „konserwatyści”.

Nie jest tych konserwatystów wielu, ale ich ambicje są wielkie. Aspirują do roli tych, którzy od nowa wymyślają ideologię konserwatywną, starając się wyrzucić do śmietnika 50-letnie dziś konserwatywne zobowiązanie do obrony amerykańskich interesów i wartości na świecie – zobowiązanie, które było inspiracją dla powstania „National Review” – i przedkładając nad to zobowiązanie strachliwą politykę ignorowania zagrożeń oraz spełniania życzeń wrogów.

I oto ci ludzie wywierają wpływ. Gdy Richard Perle wystąpił 23 lutego tego roku w programie [telewizyjnym] „Spotkaj się z prasą”, [prowadzący tę znaną audycję] Tim Russert zapytał go: „Czy może pan zapewnić amerykańskich widzów..., że bezpieczeństwo USA wymaga naszego konfliktu z Sadamem Husajnem i odsunięcia go od władzy? A co ze związkiem tej sprawy z Izraelem?” Perle odrzucił zarzut, ale jak wielkim zwycięstwem antywojennych konserwatystów było to, że Russert uznał za konieczne jego sformułowanie.

Być może znacie nazwiska owych antywojennych konserwatystów. Niektórzy z nich są sławni -- to Patryk Buchanan i Robert Novak. Inni nie są: Llewellyn Rockwell, Samuel Francis, Thomas Fleming, Scott McConnell, Justin Raimondo, Joe Sobran, Charley Reese, Jude Wanniski, Eric Margolis i Taki Theodoracopulos.

[...] antywojenni konserwatyści daleko, bardzo daleko wyszli poza obszar dyskursu o strategiach alternatywnych [wobec wojny z Irakiem]. Sprzymierzili się z lewicowymi i muzułmańskimi ruchami antywojennymi w USA i w Europie. Zaprzeczają terrorowi i usprawiedliwiają terror. Reprezentują potencjalnie samospelniający się defetyzm. Publikują szaleńcze teorie spiskowe. I niektórzy z nich otwarcie tęsknią za zwycięstwem wrogów ich własnego kraju.

Szkoda, że Frum nie zakończył swego ataku na pierwszym akapicie. Tam przynajmniej jasno wyłuszczył sprawę: współczesny amerykański konserwatysta miał obowiązek poprzeć wojnę przeciwko Irakowi i kropka. W przeciwnym przypadku czekała go anatema, wściekłość i nienawiść samego Fruma oraz, co smutne, redakcji starego,

zasłużonego „National Review”. Może jeszcze trzeci akapit niesie jakąś informację jasno sugerując, że karalne jest szukanie w USA wpływowego lobby proizraelskiego.

Ale już drugi akapit tekstu Fruma to swoiste curiosum – rzadko można znaleźć historyczną nieprawdę tak gęsto skondensowaną w jednym zdaniu (niżej podpisanemu bardzo się także spodobało pojęcie „konserwatywnej ideologii”). Podana nieco dalej lista konserwatystów musi zdumieć każdego, kto ma niejaki pojęcie o amerykańskim rynku idei, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że całość artykułu jest atakiem na paleokonserwatystów. Paleokonserwatystami są na tej liście tylko Buchanan, Francis, Fleming, Sobran i Theodoracopulos. Rockwell i Raimondo to libertariańscy izolacjoniści. McConnell zerwał w drugiej połowie lat 90-tych z neokonserwatystami, nie godząc się z ich neoimperializmem, rezygnacją z oporu przeciw nieograniczonej imigracji do USA oraz z coraz bardziej bezkrytyczną postawą wobec Izraela, ale też wcale przez to nie stał się paleokonserwatystą. Z ruchem konserwatywnym nigdy nie byli związani Reese, Margolis i Wanniski. Pierwszy z nich jest komentatorem prasowym o konserwatywnym nachyleniu, drugi jest raczej liberałem niż konserwatystą, zaś Wanniski to słynny popularyzator ekonomii podaży, czyli *supply-side economy*, teorii, która zdobyła sobie rozgłos w pierwszych latach prezydentury Reagana. Margolis tym się jeszcze różni od typowego konserwatysty, że jest nieprzejednanie antyrosyjski. Wreszcie Novak jest jednym z najsławniejszych komentatorów prasowych i telewizyjnych w Ameryce, jest wpływowym członkiem establishmentu republikańskiego, ma konserwatywne poglądy, ale z ruchem konserwatywnym nigdy się nie wiązał.²

Dziwny zestaw oskarżonych był Frumowi potrzebny, by ostatniemu z wcześniej przytoczonych akapitów przydać cię wiarygodności. Dalsze 10% artykułu to pseudouzasadnienie prawdziwości postawionych tam zarzutów. Na dowód rzekomego przymierza paleokonserwatystów z lewicą używa Frum argumentu absurdałnego stwierdzając, że niektórzy antywojenni konserwatyści odsyłają (za pomocą automatycznych połączeń, czyli tzw. linków) czytelników swoich stron internetowych do lewicowych komentatorów i pisarzy, takich jak Noam Chomsky, Gore Vidal i inni, a niekiedy ich nawet z aprobatą cytują (widać to zbrodnie odesłać czytelnika do prac reprezentanta innej formacji intelektualnej, nawet żeby pokazać, iż wychodząc z innych pozycji także można opowiedzieć się przeciw wojnie z Irakiem; Frum nie wymienia „winnych”, ale jeśli dobrze pamiętam, wspomniane „linki” widziałem kiedyś u Wanniskiego i Raimondo). Na poparcie tezy o przymierzu z muzułmanami nie pisze Frum ani słowa, choć pewnie mógłby coś znaleźć u Margolisa, nieraz cytowanego na stronach internetowych organizacji muzułmańskich. Pisząc o rzekomym negocjowaniu terroryzmu, Frum cytuje Novaka, który akurat pisał o konieczności rozróżnienia terroryzmu skierowanego przeciw Izraelowi i terroryzmu skierowanemu przeciw USA. Teza o związku ataku terrorystycznego z dnia 11 września 2001 z polityką USA na Bliskim Wschodzie jest według Fruma równoznaczna z usprawiedliwianiem terroryzmu. Defetyzmem jest pesymistyczna ocena możliwości osiągnięcia przez USA pożądanego celów na Bliskim Wschodzie siłą. Zwolennikiem teorii spiskowych jest u Fruma liberarianin Raimondo.³ Oskarżeniu o tęsknocie za zwycięstwem wrogów Ameryki służy Frumowi tendencyjne odczytanie jakichś cytatów z Raimondo i Margolisa. Niby-uzasadnienie swoich oskarżeń kończy Frum niezgodnym z prawdą stwierdzeniem, nie

pozostawiającym wątpliwości przeciw komu wytacza armaty: *Pisarze, których cytuję, określają się jako paleokonserwatyści [...]*.

Co zatem o prawdziwych paleokonserwatystach i paleokonserwatywnym ruchu pisze Frum? Stosunkowo trafnie, choć w karykaturalnym skrócie, przedstawia „credo” miesięcznika „Chronicles”, który *opowiadał się po stronie protekcjonizmu, mającego chronić amerykański przemysł, oraz nałożenia restrykcji na imigrację ludzi innych ras. Bronił ustaw o minimalnej płacy i atakował korporacje, które przeniosły swoje fabryki za ocean. Oraz bronił Konfederacji Południa z lat 60-tych XIX wieku i sprzeciwu z lat 60-tych ubiegłego wieku wobec wprowadzenia praw obywatelskich.*

Odlóżmy na później komentarz do tego opisu, by najpierw przedstawić co jeszcze możemy znaleźć w tekście Fruma. I tak, niemało miejsca poświęca konfliktowi między tradycyjnymi konserwatystami a neokonserwatystami, przez chwilę próbującymi zbudować wspólny front przeciw lewicy, co się jednak rychło okazało niemożliwe. Wspomniany konflikt zaczął się już na początku lat 80-tych, stał się widoczny także dla niewtajemniczonych w połowie owej dekady i zakończył ostatecznym rozbratem na początku lat 90-tych ubiegłego wieku (w ujęciu Fruma pierwsi pełnili rolę Złego, drudzy aniołów). Trochę też – złośliwie i nieobiektywnie – pisze o zawiązaniu się na przełomie lat 80-tych i 90-tych współpracy między nie odrzucającymi tradycji libertarianami, jak Rockwell i nieżyjący już prof. Murray Rothbard, oraz paleokonserwatystami (sugeruje przy tym sprytnie, choć mijając się z prawdą, że obie grupy utworzyły tym sposobem jedno grono paleokonserwatystów). Poza tym dowiadujemy się, że Sobran i Buchanan są antysemitami, Fleming jest wybuchowy i niezrównoważony, Francis jest rasistą, śp. prof. Melvin Bradford, którego nieraz cytowałem, był frustratem, co prawda mniejszym niż rekordzista w tej mierze, prof. Paul Gottfried, do tego solipsysta pełną gębą.

Co napisawszy, tak Frum kończy swój artykuł:

Jak dotąd tylko najodważniejsi z nich [czyli paleokonserwatystów] otwarcie przyznają, że chętnie zobaczyliby klęskę USA w wojnie z terroryzmem. Ale wszyscy myślą o takiej przegranej i chcą jej. Gdyby zaś do niej doszło, ucieszyliby się.

Zaczęli od nienawiści do neokonserwatystów. Potem znenawidzili swą partię i swego prezydenta. Skończyli na znenawidzeniu własnej ojczyzny.

Wojna wiele wyjaśnia. Zmusza ludzi do opowiedzenia się po jakiejś stronie. Paleokonserwatyści wybrali, i inni muszą wybrać także. W czasie próby paleokonserwatyści odwrócili się plecami do swego kraju. Dziś my odwracamy się plecami do nich.

Mocne słowa i na pewno szczerze, choć nie wiem dlaczego antysemita, rasista i frustrat, nawet w jednej osobie, do tego nienawidzący neokonserwatystów, musi zarazem nienawidzić swej ojczyzny i życzyć jej przegranej z terroryzmem. Chyba, że nie o terroryzm tu chodzi, a niezgoda na neokonserwatywny imperializm oraz dostrzeżenie czegoś takiego jak proizraelskie lobby równe są nienawiści do ojczyzny. Smutne, że

artykuł o tak zadziwiającym przesłaniu i tak napastliwy zyskał sobie w „National Review” status artykułu numeru.

Jeszcze wokół paszkwilu Fruma

Lektura dzieła Fruma jest tak przykra, jak dla nas musiała być pamiętna nagonka na Zbigniewa Herberta. I to mimo tego, że nie była to pierwsza neokonserwatywna napaść na paleokonserwatystów, bo tamta wcześniejsza przynajmniej nie insynuowała oskarżanym narodowej zdrady (pierwszy zmasowany atak na paleokonserwatystów dotyczył ich rzekomego antysemityzmu, wynikał z ich sprzeciwu wobec wojny w Zatoce Perskiej, doprowadził do usunięcia z „National Review” oraz marginalizacji Sobrana, nie został natomiast spełniony zasadniczy cel ataku, czyli marginalizacja Buchanana; nota bene, w napaści brał udział i Frum, wówczas jeszcze znaczący lewicowy libertarianin⁴).

W przypadku Herberta przynajmniej nie odmawiano geniuszu jego poezji. Frum pisze tak, jakby paleokonserwatyści nie byli autorami przynajmniej jednej sensownej myśli. Pisze zresztą momentami w sposób wzorcowy dla „dobrych” paszkwili. Zamiast choć jednym słowem ustosunkować się do najlepszej książki o powojennym amerykańskim ruchu konserwatywnym, w której obszernie i z naukową rzetelnością opisana jest historia rywalizacji neo- i paleokonserwatystów, woli w swój tekst – właściwie bez potrzeby dla całości wywodu – wpleść parę uwag o słabościach charakteru jej autora, Paula Gottfrieda.⁵

Nie mam nic przeciwko temu, by Frum w tonie oskarżycielskim pisał o sympatii dla Południa, jego historii i jego konserwatyzmu, o odrzuceniu Lincolna i jego spuścizny, sprzeciwie Południa wobec ruchu praw obywatelskich z lat 60-tych XX wieku (które to sympatie i antypatie są udziałem „Chronicles” Fleminga). Ale Frum nie ma chyba pojęcia, bo nie jest chyba aż tak cyniczny, że taki był i jest konserwatyzm, dziś zwany tradycyjnym. Co ciekawsze, a zwraca na to słusznie uwagę w swej polemice z Frumem Samuel Francis („Chronicles”, maj 2003), takie też było stanowisko „National Review” w jego dobrych konserwatywnych czasach. Dla dwutygodnika pisali kiedyś „południowcy” Weaver i Bradford, zaś w 1957 roku można było przeczytać tam taki fragment artykułu redakcyjnego:

Naczelnym pytaniem jest dziś, czy biała społeczność Południa ma prawo podjąć kroki niezbędne do przetrwania, zarówno politycznie jak i kulturalnie, w tych regionach, w których jest w liczebnej mniejszości. Trzeźwa odpowiedź brzmi tak. Biała społeczność ma do tego prawo, ponieważ – przynajmniej dziś – jest rasą lepiej rozwiniętą. Nie jest ani łatwo ani przyjemnie przytaczać statystyki dowodzące kulturalnej wyższości białych nad Murzynami, ale jest to fakt oczywisty [...] Dla dowolnej społeczności na świecie jest ważniejsze by kultywować i przestrzegać cywilizowanych standardów, niż by ulec żądaniom liczebnej większości.

Dodaje Francis:

Dziś także, jakkolwiek nikt nie opowiedziałby się za prawnie narzuconą segregacją rasową, aktualna pozostaje zasada sformułowana przez redaktorów „National Review” – że zachowanie cywilizacji jest ważniejsze od demokratycznego fetysza większości i postępowych abstrakcji.⁶

W ostatnich dekadach ów nakaz zachowania cywilizacji dodawał siły sprzeciwowi konserwatystów wobec nieograniczonej imigracji, a także ożywiał poglądy protekcjonistyczne. I może oczywiście być (i jest) Frum przeciwnikiem protekcjonizmu oraz nałożenia takich czy innych hamulców na imigrację do USA, ale nic się nie poradzi na to, że obydwa postulaty są postulatami tradycyjnie konserwatywnymi, a nie tylko wymysłem rzekomych oszołomów z „Chronicles”.⁷

Rozwodzę się nad enuncjacjami Fruma szeroko, może zbyt szeroko, ale myślę, że są dobrą okazją do przypomnienia jakichś faktów z konserwatyzmem związanych. Tak jest, sądzę, z dwoma jeszcze sprawami.

Dowodząc antysemityzmu Sobrana podaje Frum i taki cytat z sobranowych tekstów:

Cała historia [sromotnej porażki Buchanana w jego drugiej walce o wybór na prezydenta USA] nie jest możliwa do opowiedzenia tak długo, jak długo zabronione będzie mówienie o żydowskich interesach w sposób tak otwarty jak to jest możliwe, gdy dyskutujemy o chrześcijańskiej prawicy. Mówienie o amerykańskiej polityce bez wymieniania Żydów jest trochę jak mówienie o amerykańskiej koszykówce bez wymieniania drużyny Chicago Bulls.

Zostawiając na boku Buchanana i jego kampanię jako nieistotne dla zasadniczego zarzutu, cytat nie świadczy oczywiście o żadnym antysemityzmie (chyba że Fruma, który nie wierzy w polityczne talenty amerykańskich Żydów), za to uważam, że tyleż złośliwie co ładnie oddaje stan faktyczny i dlatego go przytoczyłem. Żeby wszakże dokładniej przedstawić opinię Sobrana o żydowskim wpływie na politykę USA, pozwolę sobie dodać inny, dłuższy i charakterystyczny mu cytat z jego stałego felietonu w konserwatywnym, katolickim tygodniku „The Wanderer” (z 8 maja 2003):

[Wielu ludzi] twierdzi, że choć Żydzi stanowią mniej niż 3% ludności USA, to jednak kontrolują amerykańską politykę zagraniczną tak dalece, że potrafią wciągnąć nas w wojnę z wrogami Izraela.

Słyszając taki argument, Żydzi czują się w naturalny sposób zaalarmowani, postrzegając go jako niebezpieczne świadectwo powrotu antysemityzmu. [...]

W rzeczywistości, polityczna potęga żydowska, której powinniśmy się obawiać, dzierzona jest nie przez te marne 3% ludności, a przez drobinę owych 3%. Ogromna większość Żydów ma tyle samo udziału we władzy, co ktokolwiek inny.

Potęga rodziny Kennedych również pozostaje w niewyobrażalnej dysproporcji do jej liczności. Ale to nie znaczy, że Irlandczycy kontrolują nasz kraj. [...] Garstka ludzi

zdecydowanych i ambitnych może mieć zdumiewająco wielkie wpływy. I nawet jeśli jest to garstka etnicznie jednorodna, nie oznacza to, że dzieli się władzę z resztą swej grupy etnicznej. Pozycja grupy Perle'a-Wolfowitza, rzeczywiście grupy żydowskiej, nie implikuje, że to żydowska większość jest na górze hierarchii władzy.

A czego obawia się ze strony grupy Perle'a-Wolfowitza Sobran, Buchanan i inni, i co budzi ich sprzeciw – to, że grupa ta jest w administracji amerykańskiej głównym architektem neokonserwatywnego imperializmu i jednocześnie, jak uzasadniają, emisariuszem lobby izraelskiego.⁸ Czytelnikom pozostawiam ocenę, czy Sobran i zgadzający się z nim paleokonserwatyści popełniają grzech antysemityzmu.

I sprawa ostatnia, bardzo ciekawego momentu w konflikcie neokonserwatyści kontra paleokonserwatyści. W kwietniu 1986 roku prof. Melvin Bradford, ówczesny prezydent konserwatywnego Stowarzyszenia Filadelfijskiego, zorganizował w ramach dorocznego spotkania Stowarzyszenia debatę między dwoma zwaśnionymi już środowiskami. Jak pisze w swej książce Gottfried, w czasie debaty *połała się krew. [...] Stephen Tonsor, konserwatysta katolicki, oświadczył, że z każdą prawdziwie konserwatywną perspektywą integralnie jest związany chrześcijański arystotelizm. Wyraził też ubolewanie wobec arogancji byłych marksistów i radykałów, którzy dziś chcą dyktować poglądy i politykę tym, którzy nigdy nie odstępili od prawdy. Z drugiej strony, R. E. Tyrrell, redaktor naczelny „American Spectator”, wystąpił z tyradą przeciw „fałszywym konserwatystom”, którzy przyszedli po to, by podzielić Prawicę.*

Według Fruma, cytującego z pamięci, Tonsor miał się m.in. tak wyrazić: *Ciesz się widok miejscowej ladacznicy w kościele, nawet śpiewającej w chórze, ale nie prowadzącej nabożeństwo.* Rozumiem oburzenie Fruma, ale też Frum powinien zdawać sobie sprawę, że trudno było ówczesną sytuację w szeroko pojętym ruchu konserwatywnym lepiej opisać i że tak widział ją ogół paleokonserwatystów. Neokonserwatyści rzeczywiście przyszli z lewicy i ledwie się zadomowolili, a już poczuli się gospodarzami domu. (Lewica, ex-lewica, która przeszła na prawicę, by ją zmienić, wszystko jedno, to wszędzie ludzie przekonani, że są stworzeni do rządzenia duszami i ciałami.)

Druga z myśli prof. Tonsora, chociaż wyrażała piękne i mądre zdaniem niżej podpisanego życzenie, była tylko życzeniem właśnie, a nie opisem stanu faktycznego, słusznie bowiem tak ją komentował prof. Gottfried:

[...] chrześcijański arystotelizm, czy neotomizm, który Tonsor uznawał za zasadniczy dla intelektualnej Prawicy, nigdy nie był stanowiskiem więcej niż mniejszości powojennych konserwatystów.

Istotnym pokłosiem debaty w Stowarzyszeniu Filadelfijskim było opublikowanie dwugłosu prof. Tonsora i ważnego intelektualisty neokonserwatywnego (proszę mi wybaczyć, iż nie pamiętam i rezygnuję ze sprawdzenia, kto to był) o możliwych fundamentach formacji konserwatywnej. Dwugłos ukazał się, a jakże, w „National Review”, wówczas ciągle jeszcze niezależnym forum myśli konserwatywnej.⁹

Neokonserwatywny polemista nie mógł się nadziwić, że prof. Tonsor jest gotów kruszyć kopię o to, czy ktoś raczej czyta Akwinatę, czy woli polegać na lekturze pooświeceniowych myślicieli. (Kiedy 17 lat temu czytałem artykuły obu adwersarzy, przypomniła mi się wcześniejsza, bardziej wyczerpująca i bardziej podstawowa dyskusja między śp. ks. Tischnerem i Mieczysławem Gogaczem, która była publikowana przez „Znak”. Ks. Tischner przekonywał wówczas, że na *biedy współczesnego świata* tomizm nie jest już w stanie dać zadowalającej odpowiedzi, siebie i innych woląc wysłać na ruchołe piaski filozofii XX wieku.)

Proizraelski premillenaryzm

Los Izraela i izraelskich Żydów jest chrześcijanom z USA czy Europy nieporównanie bliższy niż los Palestyńczyków. Zważywszy na względy religijne i historyczne nie może być inaczej. A jednak bezwarunkowy charakter poparcia, jakiego amerykańska protestancka prawica udziela Izraelowi może nieraz zaskakiwać.

Wpływowa Chrześcijańska Koalicja, jest zdecydowanie przeciwna powstaniu państwa palestyńskiego. Dla jej przewodniczącej, Roberty Combs, sprawa jest prosta – Palestyńczycy równa się terroryści. W zeszłym roku Combs mówiła: *Izrael nie może negocjować z terroryzmem. Terroryzm nie może być nagrodzony utworzeniem państwa. Dziś i w przyszłości powstanie państwa palestyńskiego oznaczałoby koniec Izraela. [...] Możesz mieć Izrael albo możesz mieć Palestynę, ale nie możesz mieć obydwu państw.*

W październiku 2002 Chrześcijańska Koalicja zorganizowała przed Białym Domem wiec solidarności z Izraelem. Na wiecu wystąpiło kilkunastu znanych lub bardzo znanych członków Kongresu, w tym przewodniczący republikańskiej większości w Izbie Reprezentantów, związany z protestancką prawicą, Tom DeLay, który powiedział: *Byłem na płaskowyżu Masada. Przebyłem Judeę i Samarię. Chodziłem ulicami Jerozolimy i stałem na wzgórzach Golan. I wiecie co? Nie widziałem żadnych okupowanych terytoriów. To co zobaczyłem, to był Izrael!* Trudno o jaśniejsze odmówienie Palestyńczykom prawa do własnego państwa, wygłoszone przez prominentnego polityka amerykańskiego.

Poparcie dla Izraela wśród prawicowych protestantów było pełne nim chrześcijańska prawica, obejmująca także katolików, pojawiła się na amerykańskiej scenie politycznej jako niezależna siła.¹⁰ Co ciekawe, poparcie to bynajmniej nie było wynikiem jakiegoś filosemityzmu. Proizraelski był np. Richard Nixon, skądinąd znany ze swych złośliwych, a często niewybrednych i antysemitkich uwag pod adresem Żydów, co prawda nigdy nie wygłaszanych na forum publicznym. Tę schizofreniczną postawę jednoczesnego popierania Izraela i niechęci do Żydów, tak przedstawiał na spotkaniu w gabinecie prezydenta Nixona w roku 1972 sławny kaznodzieja Billy Graham, także znany ze swej niechęci do Żydów: *wszyscy – no, może nie wszyscy, ale mnóstwo Żydów – to moi wielcy przyjaciele. Gromadzą się wokół mnie i są w stosunku do mnie przyjaźnie nastawieni, ponieważ wiedzą, że ja jestem przyjazny wobec Izraela. Tylko, że oni nie wiedzą, co ja naprawdę czuję, gdy widzę co czynią mojemu krajowi.* Nixon przytakiwał tym słowom

milczeniu (cytat pochodzi z niedawno temu ujawnionych materiałów Białego Domu i został przytoczony przez Aarona Wolfa w jego artykule w kwietniowym numerze „Chronicles”).

W przypadku Nixona popieranie Izraela wynikało ze względów geopolitycznych i w szczególności wiązało się z rywalizacją o wpływy ze Związkiem Sowieckim. Ale fundament, na którym niektórzy amerykańscy protestanci zbudowali swój stosunek do Izraela jest daleko ciekawszy, bo ma charakter teologiczny (jakby nie był pomyłony zdaniem innych chrześcijan -- katolików, wielu luteranów, prezbiterian, anglikanów). Fundament ten był obecny w Ameryce, gdy jeszcze o państwie izraelskim nikomu się nie śniło i jest obecny nadal, gdy nie ma już Związku Sowieckiego.

Krótko mówiąc, według XIX- i XX-wiecznych protestanckich fundamentalistów oraz wielu tzw. ewangelikalistów, o których już kiedyś wspominałem, Boży plan eschatologiczny wymaga obecności państwa Izrael na Ziemi Świętej. Zgodnie z ich odczytaniem Apokalipsy św. Jana, w eschatologicznej bitwie w Har-Magedon (Armagedon, Ap. 16.16) Izrael, bliski ostatecznej klęski z ręki Antychrysta, przejrzy i zobaczy Chrystusa wracającego na ziemię wraz z wcześniej wniebowziętymi sprawiedliwymi (chrześcijanami), którzy pod wodzą Pana pokonają wrogów Izraela. Odtąd Jezus będzie rządzić światem przez tysiąc lat, tu na ziemi, za stolicę mając Jerozolimę. I dopiero po milenium Królestwa Bożego na ziemi pod rządami Jezusa nastąpi Sąd Ostateczny. Taka eschatologia, zwana premillenaryzmem, jest częścią nurtu teologicznego znanego w Ameryce jako dyspensacjonalizm¹¹ i opartego na dosłownym odczytywaniu Pisma Świętego oraz wierze, że w ten sposób – ponieważ Biblia się nie myli – można poprawnie opisać działanie Opatrzności aż do końca świata. Inaczej niż czyni to tradycyjna biblistyka protestancka i katolicka, teologowie i bibliści wyznający dyspensacjonalizm odrzucają interpretację Pisma w kontekście historii i specyfiki różnych form literackich. Jednym z fundamentalnych kanonów egzegezy dyspensacjonalistycznej jest w rezultacie częste rozumienie słowa Izrael w Biblii jako odnoszącego się do państwa Żydów, a nie do Kościoła i prorocत्व dotyczących czasów ostatecznych. Dla dyspensacjonalisty Izrael Nowego Testamentu to niekiedy Kościół, ale często państwo żydowskie z jego terytorium na Ziemi Świętej.

Wedle tej myśli odrodzenie się Izraela w czasach obecnych, rozpoczętych zmartwychwstaniem Chrystusa, musiało się ziścić, zaś trwanie tego państwa jest niezbędne, by przejść w czas ostateczny. Izrael ma zostać wówczas zbawiony jako byt odrębny od dzisiejszego Kościoła Chrystusowego.¹²

To dlatego, pisze we wspomnianym wyżej artykule historyk religii, Aaron Wolf¹³, dyspensacjonalista William E. Blackstone, autor pierwszej książki-bestsellera dyspensacjonalistycznego, wystąpił w roku 1890 z petycją do prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz monarchów Europy o utworzenie na terenie Palestyny państwa izraelskiego. Petycję podpisało ponad 400 osób -- dziennikarze, pastory, rabini, działacze przemysłowi i finansowi (jak Cyrus McCormick Jr., John D. Rockefeller, J.P. Morgan), burmistrzowie Chicago, Nowego Jorku i Bostonu, Przewodniczący Sądu

Najwyższego oraz spiker Izby Reprezentantów Kongresu. Blackstone zaczął też organizować konferencje chrześcijańskich syjonistów.¹⁴

Deklaracja Balfoura, nie mówiąc o utworzeniu Izraela w roku 1948, była dla dyspensjonalistów potwierdzeniem trafności ich biblijnej egzegezy. Zaś po wojnie sześciodniowej w 1967 roku periodyk ewangelikalisty Billy'ego Grahama, „Christianity Today”, pisał, że wydarzenie to *elektryzuje badacza Biblii i odnawia w nim wiarę w jej nieomyślność i dokładność*.

Tyle o dyspensjonalistach. W następnym odcinku wrócę do politycznej dyskusji, jaka toczy się w USA nad amerykańskim neoimperializmem.

¹ By uniknąć możliwych nieporozumień wypada tu dodać, iż słowo „kruczata”, jakkolwiek przyjęło się, używane jest jedynie w znaczeniu przenośnym – poza Michaeliem Novakiem i niewielu jemu podobnymi, miła neokonserwatystom demokracja niewiele z chrześcijańską inspiracją ma wspólnego, stoi natomiast „uniwersalną” etyką i odnosi do zsekularyzowanego społeczeństwa, stanowiącego „uniwersalną” wspólnotę.

² Stałe, cotygodniowe komentarze („kolumny”) Evansa i Novaka (do śmierci tego pierwszego kilka lat temu i odtąd samego Novaka), oryginalnie pisane dla New York Herald Tribune, ukazują się w ponad 300 gazetach USA nieprzerwanie od ponad 40 lat, dokładnie zaś od 15 maja 1963.

³ Raimondo wierzy, że wywiad izraelski wiedział o terrorystach bin Ladena w USA więcej niż przekazał Waszyngtonowi w sierpniu 2001 i że rozległa izraelska siatka szpiegowska nielegalnie obserwowała w USA niektórych z późniejszych zamachowców na długo przed owym sierpniem. Pisząc o poszlakach wskazujących na istnienie takiej siatki Raimondo cytuje m.in. reportaże telewizji Fox z grudnia 2001 oraz artykuły z Die Zeit i Le Monde, podobno oparte na danych wywiadowczych. W uwagach czynionych na swojej stronie internetowej Raimondo stwierdzał kiedyś, iż jest sprawą otwartą czy izraelski wywiad tylko inwigilował terrorystów bin Ladena, czy starał się ich zwalczać, czy też z nimi współpracował. Dziś wymienia już tylko tę pierwszą możliwość, uznając ją za najbardziej prawdopodobną.

⁴ Lewicowi libertarianie odrzucają obyczajowe hamulce narzucane przez tradycję, są więc np. za nieograniczonym „prawem” do aborcji (zatem, chyba słusznie zauważył ostatnio Sobran, iż można dziś mienić się amerykańskim patriotą, jednocześnie będąc przedstawicielem cywilizacji śmierci). Co ciekawe, w owym czasie zaczęło się zbliżanie niektórych (w tym niechętnych tradycji) środowisk libertariańskich do neokonserwatystów.

⁵ Po raz kolejny niech mi będzie wolno polecić zainteresowanym Czytelnikom tę pracę Gottfrieda (*The Conservative Movement: Revised Edition*), paleokonserwatysty, serdecznie nie lubiącego neokonserwatystów, ale naukowca zdolnego dać dzieło rzetelne i możliwie nietendycyjne. Współautorem pierwszego wydania książki był Fleming, ale zrezygnował z pracy nad jej kolejnym wydaniem. Kompletny opis rywalizacji między różnymi konserwatywnymi frakcjami musiał objąć ich rywalizację o finansowe wsparcie działalności. A o tym mógł pisać ktoś finansowo niezależny, jak Gottfried, uniwersytecki profesor, a nie redaktor naczelny niskonakładowego czasopisma i członek władz ośrodka myśli konserwatywnej.

⁶ W tym miejscu wypada przyznać, że Francisowi niekiedy zdarza się wysławiać tę zdrową zasadę w sposób kontrowersyjny, graniczący z rasistowskim.

⁷ Do sprawy protekcjonizmu w świecie, w którym wolny handel jest mitem, pozwolę sobie wrócić w kolejnym odcinku tego przeglądu. A kończąc uwagi do Fruma streszczenia stanowiska „Chronicles” dodam jeszcze tylko, że postulat wprowadzenia płac minimalnych został wyssany z palca Davida Fruma, nigdy natomiast nie był głoszony przez miesięcznik.

⁸ Więcej o grupie Perle'a-Wolfowitza pisałem w poprzednim odcinku przeglądu.

⁹ To dziwne, a może właśnie zrozumiałe, że Frum o dwugłosie nie wspomina.

¹⁰ Chrześcijańska prawica uaktywniła się politycznie w odpowiedzi na wprowadzenie przez Sąd Najwyższy w roku 1973 "prawa" do aborcji. W latach 80-tych stała się rdzeniem tzw. moralnej większości, której nieformalnym przywódcą został słynny kaznodzieja Jerry Falwell, fundamentalistyczny baptysta. To ona pomogła Ronaldowi Reaganowi zostać prezydentem w roku 1980 i ponownie, w roku 1984. W roku 1989 wyłoniła się z niej protestancka Chrześcijańska Koalicja jako formalna grupa nacisku politycznego oraz promocji chrześcijańskiej moralności i obrony chrześcijańskiej cywilizacji w Ameryce (pierwszym przewodniczącym Koalicji został jej twórca, kaznodzieja i protestancki fundamentalista, Pat Robertson).

¹¹ Od łac. *dispensatio*.

¹² Premillenaryzm, i szerzej dyspensacjonalizm, został do Ameryki sprowadzony w latach 60-tych XIX wieku przez irlandzkiego pastora Braci z Plymouth, Johna Darby'ego. W owym czasie w Ameryce obecny był już postmillenaryzm, który przyplął tam znacznie wcześniej, bo razem z purytanami. Według tego wcześniejszego millenaryzmu Ameryka stała się w Bożych rękach narzędziem stałej poprawy świata aż do ziszczenia się dzięki niej Królestwa Bożego na ziemi. Dopiero po tysiącu lat trwania Królestwa miałyby nastąpić powtórne przyjście Chrystusa i Sąd Ostateczny. Niektórzy purytanie uznawali Boston za Nową Jerozolimę. Dyspensacjoniści odrzucali optymizm postmillenaryzmu. Byli pewni, a pogląd ten zaczął sobie znajdować wyznawców zwłaszcza po hekatombie i cierpieniach, jakie przyniosła Ameryce wojna domowa, i potem, w odpowiedzi na przemiany obyczajowe w wieku XX, że świat zmienia się nieodwołalnie na gorsze, że zło będzie się w nim szerzyć aż po czasy ostateczne – aż po tajemnicze wniebowzięcie wierzących w Chrystusa oraz ostateczną bitwę w Har-Magedon.

¹³ O sprzyjaniu Izraelowi przez dyspensacjonalistów pisano ostatnio trochę w prasie amerykańskiej, ale najlepiej uczynił to chyba właśnie Wolf w „Chronicles”. Nota bene, o dyspensacjonalistach wspominał w tym kontekście już prof. Gottfried w swojej książce o konserwatyźmie.

¹⁴ Blackstone został przez niektórych obwołany ojcem syjonizmu (w istocie swoimi postulatami wyprzedził o parę lat Teodora Herzla).